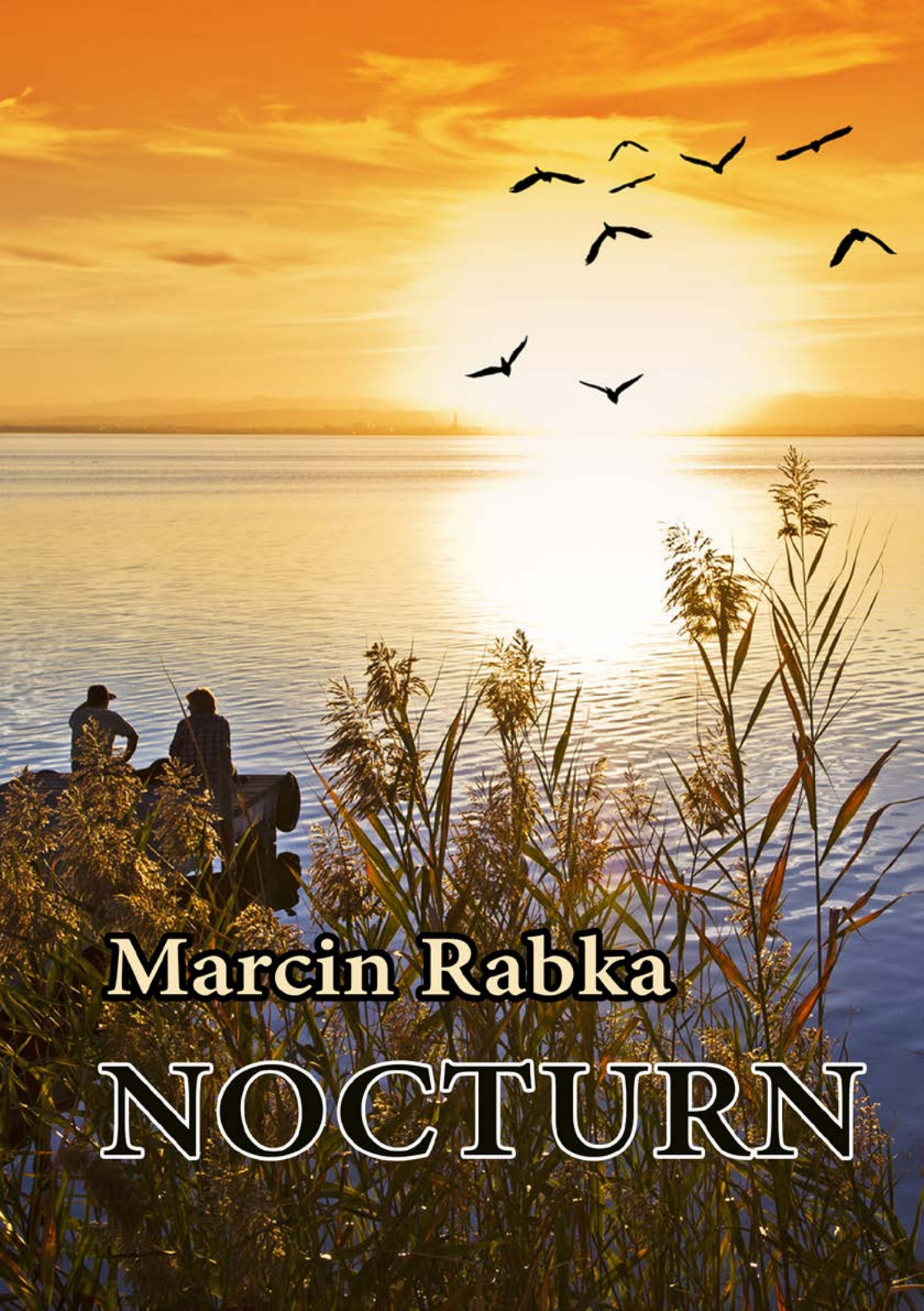




Marcin Rabka

NOCTURN

MARCIN RABKA

NOCTURN

© Copyright by
Marcin Rabka & e-bookowo
Zdjęcie na okładce: fotolia.com
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN e-book 978-83-7859-402-4
ISBN druk 978-83-7859-403-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2014

[Kup książkę](#)

1.

Dzwony na wieży katedry wybiły osiemnastą.

Kocie łby starówki tonęły w kałużach deszczu, który padał już od wczesnego popołudnia. Woda bulgotała w rynnach, stukała w okna oświetlonych kamienic, dudniła w blachę parapetów, tu i ówdzie przeciekała przez nieszczelne dachówki położone jeszcze w czasach powojennych. Krople oczyszczały pokryte wielkomięskim kurzem reklamowe billboardy, plakaty i ogłoszenia poprzyklejane do walcowatych słupów, murów, płotów. Strugi zimnej deszczówki spływały po szybach, rzeźbionych bramach, filarach, pomnikach, mknęły wartko poprzez kamienne drogi, deptaki, uliczki, zaułki i z tajemniczym szmerem znikwały w podziemiach.

Chłodne listopadowe powietrze uderzyło Wiktora Kraszczewickiego w twarz, kiedy wyszedł z ciepłej kawiarni Awangarda, gdzie właśnie dobiegł końca kolejny wieczór literacki.

Był to dwudziestotrzyletni młodzieniec, chociaż każdy przechodeń na pierwszy rzut oka mógłby o nim powiedzieć, że jest już mężem i ojcem po trzydziestce. Ciemny płaszcz, wyprasowane na kant spodnie, czapka z pomponem i długi szal powiewający na wietrze podkreślały powagę niebieskich, przenikliwych oczu studenta.

Rozłożył parasol i szybkim krokiem ruszył w kierunku Bramy Wysokiej, w której kilku przechodniów schroniło się przed ulewą i w skupieniu słuchało gry brodatego skrzypka. Muzyka smyczkowa, w połączeniu z szumem ulewy i wiatru, układała się w zmysłową symfonię.

Wiktor minął Stary Ratusz i groblę prowadzącą ku zamkowi, którego strzeliste wieżyczki piernikowego koloru tonały w rzęsimym świetle latarni. To właśnie z tych murów, gdzie teraz powiewały dostojnie flagi narodowe, Kopernik obserwował niegdyś planety od niepamiętnych czasów wędrujące po swoich eliptycznych orbitach, gwiazdy i komety podróżujące w próżnej przestrzeni. Wyrośnięte lipy nad Łyną stały nagle i wydawały się tajemnicze w tych ciemnościach listopada. W ich ogromnych koronach krzyczały stada kruków.

Deszcz padał i padał, zupełnie jakby matka natura chciała spłukać ze świata całe zło, a ludzie przemykali szybko pod parasolami.

Przed kościołem ewangelickim zbudowanym z czerwonej cegły, ogromne kasztany przygotowane już do zimowych chłódów, traciły ostatnie liście ze swoich powykręcanych gałęzi – całe dywany wilgotnego listowia piętrzyły się przed tą starą budowlą.

W świątyni odbywał się koncert.

Po chwili wsłuchiwania się w muzykę, Wiktor rozpoznał nuty Haydna. Piano sonata in Eb płynęła poprzez listopadowe powietrze.

Młodzieniec minął wylot ulicy Dąbrowszczaków i przez moment zastanowił się, czy może nie wpaść by na ciepłą herbatę z rumem do rodziny mieszkającej w secesyjnej narożnej kamienicy. W związku z tym jednak, że jutro miał spędzić w tym starym domu całe popołudnie, porzucił ostatecznie tę myśl.

Wicher nagle uderzył z taką siłą, że aż szprychy od parasola zgrzytnęły i wygięły się ku górze. Na przystanku autobusowym przy Piłsudskiego nie było żywej duszy, nie licząc czarnego kota, który siedział skulony na ławce, tuż przy rozkładzie jazdy i wpatrywał się świecącymi ślepiami w zmarz-

niętego Wiktora.

Deszcz zaczął z ukosa, krople w świetle gazowej latarni wyglądały jak igły.

Tymczasem ów kot wskoczył Wiktorowi na kolana i w żaden sposób nie chciał się oderwać od niego. Był to czysty, młody, kilkumiesięczny kocur, który najpewniej zablądził w mieście, bo na szyi miał metalową opaskę z wrytym imieniem Jacek. Wierzchołek ogona był biały, podobnie dolne części łapek i szyja, co wyglądało jakby kot miał na sobie skarpetki i szalik.

– Jacku, jesteś tak ładny, że nie mogę cię zostawić samego w tym deszczu – powiedział Wiktor i delikatnie włożył kota do szerokiej kieszeni swojego płaszcza. – Nakarmię cię w domu, a potem zobaczymy.

Nadjechała trzynastka, rozpryskując brudną kałużę i hamując ze zgrzytem.

Co można zobaczyć z brudnego okna autobusu? Ano wiele. Oprócz banków, oczywiście, bogate centra handlowe, chociażby słynną w mieście „Alfę”. Gmaszysko całe migotało gwiazdami i świecidełkami, które podkreślały nazwy sklepów firmowych, zachęcających do robienia świątecznych zakupów, chociaż listopad jeszcze się nie skończył. Kilkanaście metrów dalej autobus osiągnął skrzyżowanie, przy którym rozpościwał się Nowy Ratusz uwieńczony wieżą z zegarem przykrytą kopułą. Duże, ciemne wskazówki informowały właśnie, że była osiemnasta trzydzieści.

Wiktor westchnął i rozejrzał się dookoła. Naprzeciwko siedziała starsza kobieta w bufiastym płaszczu i intensywnie pachnąca perfum. Jacek wyłonił się niespodziewanie z kieszeni, na co sąsiadka zareagowała z entuzjazmem:

– Kici, kici... – wyciągnęła swoją pulchną rękę i zaczęła głaskać kota za uchem. – Pan ma kota? – zwróciła się do Wik-

tora. Ten zrobił poważną minę i kiwnął głową.

Kiedy wreszcie nieznajoma zakończyła zachwycać się Jackiem, rozejrzała się z uśmiechem na twarzy po innych pasażerach i zaczęła kobietę z sąsiedniej strony:

– Co za piękne, rude włosy...

– To nie rude, a kasztanowy, wczoraj właśnie naniosłam hennę...

– Czuć jeszcze zapach lawsonii... – stwierdziła ze znanstwem i pociągnęła nosem. – Ja tam wolę już siwe, zresztą nie ma dla kogo się stroić, mąż umarł zeszłej wiosny, dzieciaków odchowalam i wszystkie rozjechały się w świat... – westchnęła tęsknie. – Złociutka, masz też ładne futro, a nie za gorąco w nim?

– A no trochę... – przyznała uczciwie pani wiewiórka. – Ale, wiesz kochana, boję się choroby...

– Powiadają, że przegrzanie jest najgorsze...

– Pierwsze słyszę! – rzekła oburzona właścicielka futra. – Pani, ja tam już nikomu nie wierzę! Jak mam, to noszę!

Autobus z piskiem opon skręcił w prawo i mknął w stronę Dajtek, gdzie Wiktor mieszkał od początku studiów pośród lasów pachnących żywicą i lśniących jezior.

2.

Dom przy ulicy Działkowej, otoczony z jednej strony rozrośniętymi brzoza, utrzymany był w jaskrawym kolorze różu. Przed wejściem rozciągał się szeroki taras z pochyłym daszkiem; teraz prawie cały zajęty przez drewno przeznaczone na opał. Wąskie przejście pomiędzy kratą porośniętą dzikim winem, a kłocami drewna prowadziło prosto do eleganckich, dębowych drzwi wejściowych z witrażem. Cała po-

siadłość sprawiała wrażenie, że jest zamieszкана raczej przez bogatą rodzinę, a nie przez skromnych studentów i właścicieli plastyków rezydujących na poddaszu z dużą liczbą sztalug, kubeków z farbami, albumami i dwoma kotami kroczącymi dostojnie po domu. Państwo Michalkiewicz – młode małżeństwo dwa lata po ślubie – byli odpowiedzialni za tę posiadłość, która formalnie należała do ich rodziców, lekarzy pracujących obecnie w prywatnej klinice w Szwajcarii. Od czasu bowiem, kiedy Polska stała się członkiem Unii Europejskiej, zaczęła narastać fala emigracyjna.

„Kto tu pozostanie w przyszłości?” – zastanawiał się czasami Wiktor.

Teraz szybkim krokiem przeszedł przez taras i wszedł do środka. Nareszcie ciepło. Korytarz był w całej swojej okazałości obrazem luksusu: podłogę i ściany zdobiły białe kafle ze złotymi wzorkami w kształcie karo, sufit zaś został zaopatrzony w liczne lampy i lustra. Wszystko razem sprawiała naprawdę duże wrażenie, niemniej, Wiktorowi zawsze wydawało się, że czegoś tutaj brakuje, czegoś poza tą błyszczącą złotem materią.

Może to po prostu wynikało z faktu, że od dziecka lubił stare budowle, fascynowały go przede wszystkim kamienice ze skrzypiącymi podłogami, rzeźbionymi drzwiami. Bardzo często spacerując po starówce, zatrzymywał się przed różnymi domami, przyglądał się wmurowanym sztukateriom, kariatydom, zaglądał do klatek schodowych, choćby po to tylko, żeby dowiedzieć się, z jakiego drewna lub ile lat może liczyć dana brama.

Czterokondygnacyjny dom państwa Michalkiewiczów posiadał liczne korytarzyki, zakamarki, kuchnie, łazienki i oczywiście – pokoje – Wiktorowi przypadł mały, jedyne dziesięć metrów kwadratowych na drugim piętrze, ale za to

z balkonem i z widokiem na las. Kiedy tylko zdarzyło się mu przebywać dłużej wśród ludzi, tęsknił mocno za swoją samotnością. Jedna ze ścian tego przytulnego pokoiku była zabudowana solidnym regałem wypełnionym książkami, głównie przyrodniczymi, ale sporą część tej pokażnej biblioteki stanowiła też beletrystyka. Oczywiście, wszystkie dzieła ukochanego Prusa (eleganckie, stare, szyte wydania PIW-u), Hessego, czy Rilkego kupione w antykwariatach.

Wiktor wszedł do pokoju, pozapalał lampy, spuścił rolety w oknach, tak żeby odciąć się od mroków listopada. Nakarmił Jacka; kocisko wyraźnie zadowolone, najpierw zwiedziło cały pokój, wskakując nawet na najwyższą półkę regału, po czym ułożyło się w wiklinowym koszyku i szybko zasnęło. Mężczyzna, podśpiewując cicho, odwiesił odzież do szafy i udał się do łazienki, gdzie włączył płytę Mozarta. Wszedł do wanny, która zaczęła wypełniać się gorącą wodą, zamknął oczy i nagle zatęsknił za błogim dzieciństwem na wsi, za przyjaciółmi ze szkolnych lat: Kasią i Agnieszką.

Wiedział, że kocha Katarzynę całym sercem, ale ona ciągle traktowała go jako dobrego kompana. Kiedy dawał jej do zrozumienia, że bardzo mu na niej zależy, Kasia stawiała się chłodna i mówiła, że chce jeszcze pozostać wolnym ptakiem.

„Będę czekać cierpliwie i nigdy cię nie opuszczę” – postanowił i wsłuchał się w dźwięki fortepianowego nokturnu. Sam nie wiedział, kiedy zasnął.

3.

Śniło się mu, że spaceruje razem z Kasią po Mazurach. Widział czerni jej rozpuszczonych włosów, błękit oczu, słyszał jej ciepły głos, gdy nagle ten obraz przerwał strumień wody

dostający się do buzi. Wiktor zerwał się z krzykiem, wyrzucając w powietrze sporą ilość piany i dopiero po chwili uświadomił sobie, o zgrozo, że przysnął. Z westchnieniem wyszedł z wanny, wytarł mokre ciało grubym ręcznikiem.

Nagle dały się słyszeć czyjeś kroki, ktoś szybko zbiegł po schodach, stukając głośno obcasami i zanim zdążył krzyknąć choć jedno słowo, ktoś szarpnął za klamkę. Drzwi otworzyły się z rozmachem i stanęła w nich subtelna Ewelina Piórkowska, studentka piątego roku muzykologii.

– Do licha – rzekł Wiktor zaskoczony, gdyż był nagi.

– Ooo... – zmieszała się Ewelina. – Przepraszam, już wychodzę...

– Wskazane! – oznajmił, zakładając, czym prędzej szlafrok.

– Na przyszłość, zanim wejdiesz, to należy pukać...

– Przepraszam, ale myślałam, że w domu nie ma nikogo...

– Ja też, do diabła, dlatego nie zamykałem dokładnie drzwi.

– Idę dzisiaj na bal, będę śpiewać na scenie, nie wiem, czy pamiętasz?

– Nie pamiętam – odpowiedział Wiktor. – Nie mam ochoty teraz na zakrapiane zabawy.

– Nie przesadzaj, może pojechałbyś tylko posłuchać mojego wystąpienia, jeśli dobrze wypadnę, to będę miała szansę nagrać swój utwór na płycie w studio tutejszego radia... – mówiła z korytarza. – Byłoby mi raźniej, widząc twoją twarz w tłumie.

– Nie raz już widziałas i szczęścia ci nie przyniosłem – stwierdził Wiktor. – Zabierz z sobą swojego męża.

– Gdy tymczasem on jest na stażu w Holandii – rzekła z westchnieniem Ewelina. – Trudno, przecież nie zmuszę cię.

– To sprowadź go sobie – zasugerował, wychodząc z łazienki.